

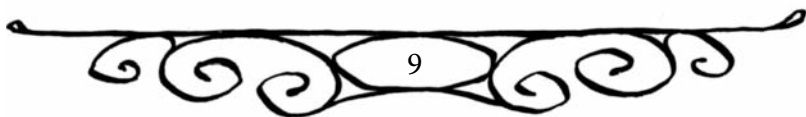
PECHOWY DZIEŃ

Nowy Jork.

To był typowy, pechowy dzień.

Szare, pochmurne niebo sprawiało, że manhattańskie drapacze chmur przypominały gigantyczne sarkofagi. Rzęsisty deszcz przenikał przez kołnierz czarnej, skórzanej kurtki trzęsącego się z zimna Willarda. Jego ciemne włosy odstawały niczym czułki kalmarów. Z rur wdechowych stojących na światłach samochodów wydobywały się kłęby białego dymu.

Will był to wysoki i wyjątkowo chudy chłopiec. Właśnie szedł ulicą, człapiąc rozwiązanymi tenisówkami i był najwyraźniej w parszywym nastroju. Włókł się zgarbiony, z szyją wygiętą do przodu jak u sępa i niewyraźnym spojrzeniem skierowanym wprost na chodnik.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Był tak zażenowany obrotem spraw, że o mało nie przewrócił jakiejś staruszki z torbą zakupów w rękę, stojącej przed supermarketem Hooney na Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy. Nie zauważył też ogromnych plakatów obwieszczających przyjazd do miasta Gutterzombies, ulubionej kapeli rockowej. Minął sklep płytowy, który należał do jego przyjaciela Leo, i nie rzucił nawet okiem na witrynę wypełnioną po brzegi kompaktami i starymi winylami. Szedł prosto do domu, czyli do najstarszego i najbardziej krzywego wieżowca w całej dzielnicy. Kopniakiem otworzył na oścież bramę wejściową i wcisnął się do windy, strzepując przy tym wilgotne nogawki dżinsów.

Kabina windy zdecydowanie wymagała mycia i remontu, jak zresztą i cały budynek, wyłożony rozwalającą się aktualnie wykładziną o wzorze mysiej skóry i ozdobiony wyciętymi szczyrykiem przez jakiegoś łobuza głupkowatymi napisami na drewnianych panelach. Całość dopełniał nie do wytrzymania odór rumianku pani Cole – lokatorki z dziewiętnastego piętra.

Will, jak co dzień, bez najmniejszego zainteresowania automatycznie rejestrował wszystkie te fakty. Wszedł do windy, trzasnął drewnianymi drzwiami podziurawionymi przez korniki, wcisnął sfatygowany guzik

i przygotował się na gwałtowne wstrząsy, które zawsze towarzyszyły jeździe. Jednak winda ani drgnęła.

Po raz drugi nacisnął przycisk ostatniego piętra. I znowu nic.

– Fantastycznie! – mruknął pod nosem coraz bardziej wściekły. – Naprawdę fantastycznie!

Znów zepsuła się winda.

To był *zdecydowanie* pechowy dzień.

Gdy, sapiąc jak parowóz, wdrapał się wreszcie na dwunaste piętro, jego ciuchy zdążyły już wyschnąć. Jednak ten miły stan nie trwał długo, bo na osiemnastym znów zaczęły wilgotnieć, tyle że tym razem od potu.

Doczłapawszy na dziewiętnaste piętro, Will zauważył, że pani Cole nie zabrała jeszcze butelki z mlekiem, którą mleczarz zostawił jej na progu. Wówczas przyszedł mu do głowy pewien pomysł: uznał, że to właściwy dzień, aby wziąć odwet za lata nieznośnego zapachu rumianku. Odkręcił butelkę i oparł ją przechyloną o drzwi, po czym zadzwonił i dał nogę w momencie, gdy pani Cole otworzyła drzwi na oścież i zaniemówiła ze zgrozy, bo właśnie zalała ją rzeka świeżutkiego mleka.

Will półżywy dotarł w końcu na dwudzieste dziewięte piętro i stanął przed drzwiami swojego mieszkania.

Willard Moogley – taki napis widniał na mocno przekrzywionej, mosiężnej tabliczce przytwierdzonej do drzwi.

Nie mogąc ani złapać tchu, ani ustać na trzęsących się ze zmęczenia nogach, Will oparł się czołem o ścianę i w tej pozycji zaczął przetrząsać kieszenie skórzanej kurtki i szerokich džinsów w poszukiwaniu kluczy. Znalazł je oczywiście jako ostatnie, wywaliwszy wcześniej na podłogę całą zawartość wszystkich kieszeni: monety, gumy do żucia (nowiutkie oraz nieco używane), gumowe piłeczki, oryginalne szwajcarskie noże, bilety na metro, resztki ołówka, okrągłe pokręta od starej pralki i przycisk włącznika szkolnej kserokopiarki, którego nagłe zniknięcie o poranku powstrzymało panią profesor Schulz przed zrobieniem klasówki z matematyki.

Will ścisnął brelok od kluczy w kształcie trupiej główki, przekręcił w zamku ogromny, czarny klucz i wtoczył się do środka.

– Hej! Wróciłem! – stęknął i zamknął za sobą drzwi celnym kopniakiem.

– I kogo to obchodzi! I kogo to obchodzi! – odkrzyknął w odpowiedzi niewyraźny kobiecy głos z pokoju obok.

Will zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku w kształcie żyrafy. Gdy udało mu się znaleźć włącznik na ścianie,

w szarym pokoju rozbłysło słabe światełko. Wnętrze domu Moogleyów pełne było dziwnych przedmiotów: obok wieszaka i okrągłych krzesełek, na których leżały porzucone sterty różnokolorowych koszulek, znajdowała się ogromna biblioteka z regałami aż po sam sufit, pośrodku którego pysznił się dziwny żyrandol ze splecionych liści. Mieszkanie było tak wysokie, że Will stanąwszy nawet na palcach, nie był w stanie zmienić przepalonej żarówki.

Pokój tuż obok był przestronnym salonem z wielką kanapą z czarnej, pomarszczonej skóry, dwoma bliźniaczymi fotelami stojącymi po bokach okazałego telewizora spirytystycznego, drewnianym zegarem z wahadłem stojącym w rogu pod oknem, pękatym kufrem pokrytym żelaznymi gwoździami, okazałych rozmiarów chińskim gongiem i przewodami od konsoli do gier, które leżały splątane na dywanie.

Na straży jednych z dwojga drzwi prowadzących do salonu czuwał wypchany sokół. Po drugiej stronie była kuchnia, ale dostać się do niej można było dopiero po przesunięciu ciemnego, topornego mebla z drewna, na którym leżało ze trzydzieści ułożonych w stos kartonów po pizzy. Pośrodku kuchni na starej, srebrnej podpórce siedziała Gaduła, papuga Willa, czyszcząc sobie skrzydło.



– I kogo to obchodzi! – wrzasnęło ptaszysko na widok swego pana.

Will szukał wszędzie suszarki z wypranymi, czarnymi koszulkami. Przez przypadek wyłowił jedną i zdjął z siebie tę wilgotną, którą nosił przez cały dzień. Momentalnie zmienił wygląd, eksponując w białym świetle swą wychudzoną i pokrytą pieprzykami klatkę piersiową, z wystającymi żebrami i wklęsłym, bladym brzuchem, który z pewnością nie zaznał nigdy promieni słonecznych.

Starą koszulkę rzucił wprost w papugę, która zrobiła unik wyćwiczonym ruchem.

Will otworzył pękatą lodówkę ruchem, jakim zaciąga się hamulec ręczny i rzucił się w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Za oknem słyhać było grzmoty i coraz silniej padający deszcz, który bębnił w parapety.

– Fantastycznie – mruknął Will. Na domiar złego skończył się jego ulubiony, potrójnie czekoladowy krem Choco Smash.

Lodówka wyglądała niczym rozległe, lodowe pustkowie. Kiepska sprawa.

– Gaduła jest głodna! Gaduła jest głodna! – przypomniała o swoim istnieniu papuga. Will charcząc, podniósł się ze swego ulubionego, dziurawego fotela, na którym

usiadł ledwie minutę wcześniej i zrezygnowany poszedł po ptasie jedzenie.

Co za pechowy dzień.

Sypnął papudze ziarna i zastygł w bezruchu, marząc tylko o tym, by dotrzeć tak do nieskończoności. Z odrętwienia wyrwał go dopiero dzwonek do drzwi.

„Co jeszcze może mi się przydarzyć?” – pytał sam siebie niemal wystraszony.

To mógł być jakiś klient agencji lub jeden z tych natrętnych pracowników centrum pomocy społecznej, którzy od czasu do czasu przychodzili na rozmowy z jego rodzicami. Willard Moogley nigdy nie miał rodziców. Był sierotą i mieszkał w tym domu tylko dlatego, że zgodził się przejąć Agencję Duchów swego wuja Alvina.

Dźwięk dzwonka nie ustawał. Will z trudem podniósł się z fotela. W drodze do drzwi przejrzał się szybko w lustrze o hebanowej ramie, czesząc pospiesznie opadłą grzywkę.

„A jeśli to ta czarująca Susan z drugiego piętra?” – pytał sam siebie.

Po radykalnej zmianie ubioru i fryzury Will mógł uchodzić za przystojniaka, ale „kwestia kobieca” była mu zupełnie obca. No, chyba żeby ta kwestia miała się pojawić w osobie uroczej Susan.

Will podszedł do drzwi na palcach, stąpając jak najciszej po dywanie z niedźwiedziej skóry, który pokrywał podłogę przy wejściu. Doszedł do drzwi i ostrożnie spojrzął przez wizjer, by ustalić tożsamość natręta.

Odsapnął z ulgą.

To był Tupper.

– Ach, to ty – powitał go cichym głosem.

Tupper, pomimo, że też wdrapał się piechotą na dwudzieste dziewiąte piętro, nawet nie miał zadyszki. Wyglądał wprost kwitnąco.

– Hej Will, jak leci? – przywitał się, poprawiając prostokątne okulary.

– Syf totalny.

Tupper wszedł za przyjacielem do salonu i usadowił się wygodnie na kanapie, rzucając w jej róg gazetę, którą miał pod pachą. – Może jakaś partyjka? – spytał, rozglądając się za dżojpadami od konsoli do gier. Will runął bezwładnie na swój dziurawy fotel.

– Zapomnij.

Dopiero wtedy Tupper zauważył grobową minę przyjaciela.

– Co się dzieje?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Nic.

– Czyżby?

Tupper zdjął elektryzująco niebieską kurtkę bejsbolisty, prezentując swą ulubioną pomarańczowo-zieloną koszulkę, którą kupił w Bronksie w sklepie „Ostatnia plaża”. Była mamucich rozmiarów i fałdowała się na brzuchu.

– Wyrzuć to z siebie!

– Tupper, wiesz... nie o to chodzi. Czaisz, co to znaczy ciężki dzień? Właśnie dzisiaj mam ciężki dzień.

Malutkie i bystre źrenice Tuppera zwęziły się, zdradzając ciekawość. – Przestań! Że niby co takiego straszniego się zdarzyło?

Will skierował w jego stronę pozornie spokojne spojrzenie. Tupper był, tak czy owak, jego najwierniejszym i najszczerzym kumplem, by nie rzec jedynym przyjacielem.

– Każdy ma to, na co zasłużył – skomentował filozoficznie po chwili.

Tupper, niezbyt przekonany, dotknął okularów, by je poprawić. Z żarłoczną ciekawością spytał: – No i?

Will parsknął i rozejrzał się wokoło, wzruszając ramionami.

– Więc jedyne, na co przychodzi mi ochota, to aby

posłać to wszystko w diabły. Aby zamknąć agencję i sprzedać to ogromne mieszkanie!

Tupper nagle zeszywniał. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Coraz trudniej pracuje się w tym mieście! Zbyt wiele problemów i zbyt wiele wstydu. Nie ma już takich duchów jak kiedyś. Patrz ostatni przypadek: wydawało się to prostą robótką, nie? Zjawił się ten stary nudziarz, co chce wyrzucić parę narzeczonych słuchających muzyki tanecznej w mieszkaniu obok. „Nie ma nic lepszego od ducha, który ich tak wystraszy, że uciekną w mig” – podpowiedziałem mu. I zaproponowałem mu taryfę „pomocny duch”. Stary zaczął płakać, że jest biedny i nie ma nawet dolara, żeby mi zapłacić. W końcu ustaliliśmy: najpierw wyślę jednego z agencyjnych duchów, aby postraszył kochasiów, a potem on zapłaci mi sto dolarów.

Tupper poprawił okulary. – Dobry układ.

Will rozprostował się na fotelu, kładąc stopy na kufrze pokrytym gwoździami. – Też tak wtedy myślałem. I wówczas zacząłem się zastanawiać, którego ducha wysłać. W końcu dla bezpieczeństwa zdecydowałem się wezwać Wandalusa Hałaśliwca.

– Jasny gwint! – krzyknął Trupper. – Któż to taki?

– Duch średniowiecznego wojownika. Był on... – Will otworzył na oścież kufer i wyciągnął z niego przezroczy-
sty, welinowy papier zapisany gęstym drukiem, czytelny
tylko pod światło.

– Słuchaj, co napisał w swoim CV: *w pracy wykorzystuję przerażającą zbroję i zębaty miecz*. Nieźle, co?

– Ale? – spytał Tupper, przeczuwając problem.

– Ale nie napisał, że interesuje się też muzyką tanecz-
ną!

Oczy prawie wylazły Tupperowi na wierzch.

– Serio?

– Przysięgam. Mało, że koleś nie wystraszył parki, to
jeszcze użył swych nadprzyrodzonych mocy, by włączać
wieżę, kiedy ich nie było w domu, i ćwiczyć piruety! Wy-
obrażasz sobie starego? I to nie koniec: po powrocie do
agencji Wandal oświadczył mi, że w przyszłości chciałby
straszyć tylko na dyskotekach. Przezroczyta kartka wy-
leciała Willowi z rąk, lądując na ziemi, skąd podniósł ją
Tupper. – No to trzeba zmienić mu CV.

– Po co? – żalił się chłopak, rozłożywszy się ponow-
nie w fotelu. – Już ci powiedziałem, że się zwijam. Zo-
stawiam wszystko ciotce Maud i jadę na Hawaje posur-
fować.

Na samą myśl o tym Tupper wybuchł głośnym śmiechem.

– Ty? Na Hawaje? Jeszcze cię dopadną promienie słoneczne!

Will nie odpowiedział nic, trwając uparcie w ciszy.

– Dosyć stękania! – krzyknął Tupper, zacierając ręce. Odłożył CV Wandala do kuferka i wziął ponownie do ręki gazetę, z którą przyszedł. – Może to drobiazg w porównaniu z tym, co nas czeka!

– O czym ty mówisz?

Tupper otworzył gazetę i pokazał przyjacielowi ostatni numer *Gazety Upiornej*, oficjalnego dziennika Międzynarodowej Federacji Agencji „Zaświaty”, czyli największej międzynarodowej grupy zrzeszającej agencje pośrednictwa pracy dla duchów, do której od pięciu pokoleń należy renomowana Agencja Duchów Moogleyów.

– Założę się, że nie widziałeś tego – rzekł Tupper, nie posiadając się z radości.

– Nawet nie zauważyłem, że przyszło.

Tupper wodził chwilę wzrokiem po kolejnych stronach gazety, aż znalazł to, czego szukał. Był to anons następującej treści:

OTWARCIE DRESZCZOWEGO HOTELU

Supersieć Duch-Lux Inn ogłasza otwarcie nawiedzonego pięciogwiazdkowego hotelu dla żądnych dreszczy. Hotel znajduje się na wyspie Long Island w odległości kilku kilometrów od Nowego Jorku.

Szczegóły u Lucyfera... pardon,
u menedżera!

– Czyż to nie fantastyczne? – wykrzyknął Tupper. – Zobacz tutaj: oferują umowę o pracę całej masie duchów. Co najmniej osiemdziesięciogru.

– Ta, już – uniósł się Will. – I kogo im wyślę? Najślawniejszego Wandala co wywija na parkietach?

– A ile płacą! To się w głowie nie mieści! Nie mogę się doliczyć, ile tu jest zer!

– Tupper... Tupper... to ogromna robota.

– Istotnie, ogromniasta. To okazja, na jaką czekałeś, by rozkręcić agencję.

– Nie zrozumiałeś – odparł Will, rozprostowując się na fotelu. – Jeśli to naprawdę taka ogromna sprawa to znaczy, że będziemy mieć z pewnością do czynienia

z tymi nadętymi piękniśiami z Agencji Fullerton i ich superprofesjonalnymi duchami rodem z Hollywood.

– I co? To cię przeraża?

Szyby okien drżały od odłósów burzy.

– Nie to, że mnie nie przeraża. Tylko chodzi o to, że nie wiem... nie wiem, czy mi się tego na serio chce. W końcu to miejsce jest poza miastem, daleko. Ryzykujemy, że narobimy się jak woły za frajer.

Tupper wsunął język między zęby i wzruszył ramionami.

– Szkoda – powiedział, zamykając gazetę. – Ten hotel jest parę kroków od miasteczka Spoonville.

– No i co z tego? – rzekł Will, rozkładając ramiona.

– Dwa lata temu Spoonville ogłoszono stolicą pączków. Przejeżdżając, moglibyśmy się zatrzymać i zjeść parę.

W tym momencie w oczach Willa rozblęśło światółko zainteresowania.

Wyciągnął rękę po gazetę. Z każdą chwilą pomysł uczestniczenia w konkursie o megakontrakt zaczynał być coraz bardziej atrakcyjny.